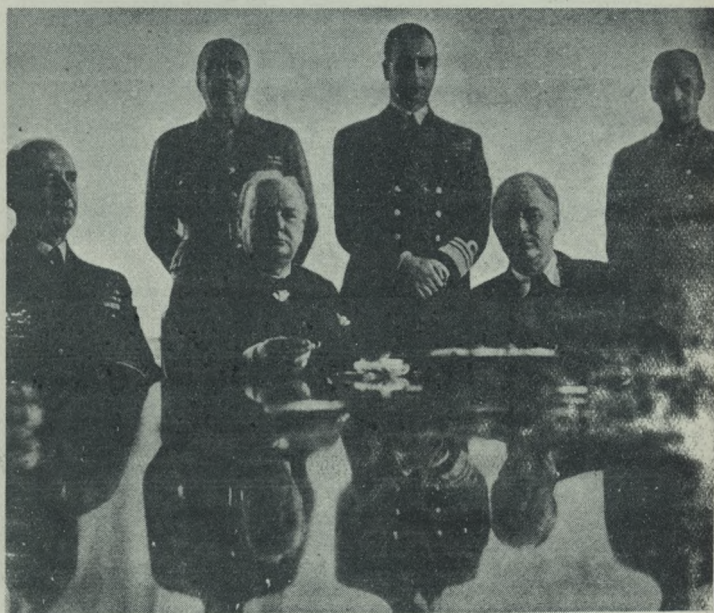


# OSLYCHAC

TYGODNIK STRESZCZEN.



Nr. 8. 26.V.1943. 6a.

|              |  |     |
|--------------|--|-----|
|              | 1. WINSTON CHURCHILL - WSPOMNIENIA...str. 3. |     |
|              | 2. ROK 1920.....                             | 9.  |
|              | 3. JAK ZDOBYĆ GUMĘ.....                      | 11. |
| W dristycyjm | 4. CZY WIECIE, ŻE.....                       | 15. |
| numere       | 5. HOLIDAY NA TRATWIE.....                   | 17. |
|              | 6. BRYTYJSKI HUMOR.....                      | 19. |
|              | 7. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA.....                  | 20. |
|              | 8. KRZYŻACY - mały epizod.....               | 25. |
|              | 9. PRZEZ BRYTYJSKIE OKULARY.....             | 28. |

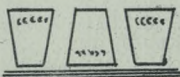
OKŁADKA: Konferencja w Casablanca.

Siedzą: adm. King, W. Churchill i prez. Roosevelt.

Stoją: gen. Ismay, lord Mountbatten i gen. John Dill.

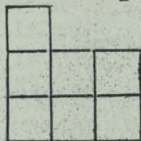
Zagadki salońowe...

1. Ustaw trzy szklanki w rzędzie /rys.1./. Środkowa odwrócona dnem do góry. Weź dwie szklanki do obu rąk i obróć je jednocześnie. Wykonaj ten ruch trzy razy. Nie wolno sukcesywnie obracać dwóch tych samych szklanek. Po trzecim ruchu wszystkie trzy szklanki muszą stać dnem do góry.



Rys. N.1.

2. Weź 20 zapalek i sformuj figurę, złożoną z siedmiu kwadratów./rys Nr.2/. Zdejm trzy zapaliki i ustaw je tak ażeby otrzymana figura składała się tylko z pięciu kwadratów, które stykać się będą ze sobą w jednym punkcie.



Rys. N 2.

Kwadraty nie mogą zmienić swych rozmiarów.

ROZWIĄZANIA ogłoszone będą w numerze dziesiątym

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA KWARTALNA 6/-

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.

Tel. 53061.



Winston Churchill...

Przed sześciu miesięcy grały wszystkie dzwony z powodu zwycięstwa pod El Alamein. I po raz drugi rozbrzniały 16 maja, po zwycięskim oczyszczeniu całej Afryki od nieprzyjaciela.

Widzimy pewne epizody toczącej się wojny. Przewijające się przed naszymi oczami, jakby na ekranie. Epizody, dodające wiele otuchy. Mówiące że cierpienia narodów, uginających się pod butem, zbliżają się już ku końcowi.

Lecz za tymi poszczególnymi epizodami wojennymi, za całością toczącej się akcji, musi stać reżyser. Człowiek z głową, energiczny i pomysłowy. Człowiek, który wie czego chce. Który planuje na wiele miesięcy przed tym i potem oddaje gotową pracę do wykonania najzdolniejszym swym współpracownikom.

Tym człowiekiem jest Winston Churchill. Oczyszczenie Afryki - to jego dzieło.

Przez skromność i ze względów propagandowych powiedział, że inwazja Marokka i Algieru, to pomysły prezydenta Roosevelta. Zdaje się jednak, że tak nie było. Churchill był duszą całego przedsięwzięcia, rozumiejąc, że Afryka daje ogromne pole do działania następnego. Skraca 10-krotnie drogę do Egiptu i na Ocean Indyjski. Daje nieograniczone możliwości do zaatakowania Europy od południa.

A Churchill, stary żołnierz wie, że sztuka wojenna polega przede wszystkim na umiejętnym zaatakowaniu nieprzyjaciela z flanki lub z tyłu. Atlantyckie i Morza Północnego brzegi - to front. Morze Śródziemne - to nieprzygotowane jeszcze tyły.

Ten człowiek - to pełnia kontrastów. Pół Amerykanin, pół Anglik. Potomek znakomitego rodu - książąt Malborough - a przy tym demokratą z krwi i kości. Jeden z ostatnich przedstawicieli wiktoriańskiej epoki - a człowiek, prześciga-

jący swymi pomysłami i czynami czasy, w których żyje. Swą karierę Churchill zawdzięcza li tylko sobie. Ciężka praca i bez wytchnienia prowadzona walka, znaczą całe jego życie.

Winston Churchill dał się już poznać światu w czasie ubiegłej wojny. Jemu WBrytania zawdzięcza w dużym stopniu, odniesione po ciężkich zmaganiach zwycięstwo.

Drukujemy w numerze dzisiejszym jeden charakterystyczny epizod z życia Churchilla. W następnych numerach podamy jeszcze innych parę epizodów. Wszystkie jednakowo ciekawe. Wszystkie wykazujące, jakim przewidującym człowiekiem był Winston Churchill.

Streszczenia podajemy ze świetnej biografii, napisanej przez Rene Krauss'a.

Pewnego słonecznego dnia w październiku 1911 roku premier Asquith zaprosił Winstona Churchilla na partię golfa. Churchill zajmował wówczas w jego rządzie stanowisko ministra spraw wewnętrznych.

Po skończonej partii, w drodze do domu, Asquith spytał Churchilla, czy słyszał kiedy o słowie "Weltraumpolitik". Wobec zaprzeczenia, objaśnił mu jego znaczenie. Słowo to, jak wiemy, było poprzednikiem obecnie szeroko stosowanego przez Niemców w teorii i w praktyce słowa: "Lebensraum".

Premier Asquith posiadał dowody, że Niemcy przy najbliższej okazji chcą zaatakować W. Brytanię. Dla odparcia tego ataku, W. Brytania rozporządza jedynie marynarką wojenną, w której niezbyt się dobrze dzieje. Lecz w niej jedyna nadzieja.

Churchilla aż poderwało. Ten siwy "gentleman" wiedział, że Imperium stoi na skraju przepaści i spokojnie grał w golfa! A tymczasem marynarka brytyjska pleśniała, uspiąca długotrwałym pokojem.

Po krótkim milczeniu Asquith spytał Churchilla "Czy zgodziłby się pan objąć Admiralicję?"

"Rozumie się, że się zgadzam", spokojnie odpo-



wiedział Churchill.

W owym czasie groziło Wielkiej Brytanii niebezpieczeństwo utraty prymatu na morzu. Warunku, jedynie zabezpieczającego jej niepodległość. Z każdym rokiem Niemcy budowali więcej okrętów. Umiarkowana polityka brytyjskich liberałów, będących wtedy u steru rządu, doskonale harmonizowała z celami pan-germańskimi.

"Jest to towarzystwo pacyfistyczne i przeciwilizowane", wyrażał się o ówczesnym rządzie brytyjskim admirał von Tirpitz. "Ale to się świetnie składa. Przeszarżała rasa musi ustąpić młodej".

Churchilla i Lloyd George'a uważali Niemcy za czołowych przedstawicieli brytyjskiego dekadentckiego pacyfizmu. Przecięż to Churchill w czasie kampanii wyborczej, przeciwny był nawet skromnej budowie nowych pancerników. To Churchill powiedział po wejściu do Izby Gmin, iż pomiędzy WBrytanią a Niemcami nie ma sprzecznych interesów.

I Berlin zacierał ręce, gdy się dowiedział że właśnie ten Churchill został Pierwszym Lordem Admiralicji. Z takim "dyletantem", rosnąca z dnia na dzień niemiecka marynarka wojenna da sobie łatwo radę.

Berlin nie mógł popełnić większej omyłki. Bezwstydną radość, z jaką wrogowie WBrytanii powitali nominację Winstona Churchilla, dodała mu bodźca. Pracował bez wytchnienia, aby doprowadzić marynarkę do stanu gotowości wojennej. Miotła jego zaczęła bez litości wymiatać zaśnieżoną Admiralicję. Pominąwszy czterech czy pięciu starszych admirałów, mianował swym sekretarzem jednego z najmłodszych dowódców marynarki, kontraadmirała Beatty. Powód? Admirał Beatty był pełen nowoczesnych pomysłów, niecierpianych i wyśmiewanych przez jego starszych kolegów.

W całej marynarce młodzi oficerowie otrzymali najbardziej odpowiedzialne stanowiska.

Na swego doradcę powołał Churchill lorda Fishera, dymisjonowanego ale mądrego i dynamicz-

nego admirała. Za jego to radą wprowadzone zostały do marynarki poważne zmiany. Między innymi uzbrojono wielkie okręty w ciężkie działa. Tego to lorda Fishera nazwano "ojcem marynarki brytyjskiej".

Jednak dla przeprowadzenia projektowanych zmian potrzeba było conajmniej 15 lat. Obaj mężowie doskonale rozumieli, że rozporządzają czasem o wiele krótszym. Poza tym całą swą pracę musieli zachować w jaknajgłębszej tajemnicy. Chociaż ówczesny rząd brytyjski doskonale sobie zdawał sprawę z tego iż wojny nie da się uniknąć, postanowiono do ostatniej chwili, dopóki istniała najsłabsza nadzieja utrzymania pokoju, nie alarmować opinii publicznej.

Rezultatem tego stanowiska, zajętego przez premiera Asquitha, a popieranego przez Lloyd George'a, było, że naród brytyjski wszedł, kompletnie nieprzygotowany psychicznie, w wojnę w 1914 roku. Wtedy to WBrytania odczuła po raz pierwszy tragiczne skutki swej pacyfistycznej polityki. Prowadzonej w czasie, gdy pod jej bokiem zbroił się od stóp do głów agresywny sąsiad.

W najtrudniejszych warunkach z tego powodu znalazł się Churchill. Przy wypełnianiu swego ciężkiego zadania, nie mógł on apelować do nikogo o pomoc.

W samej Admiralicji zrobił on wszystko, co było w jego mocy, dla zapewnienia stałego pogotowia wojennego. Wydał nawet rozkaz, ażeby admirałowie kolejno nocowali w Admiralicji.

Niestety, o swych zarządzeniach nie mógł Churchill z nikim mówić. Nawet z premierem Asquithem, który nienawidził konspiracji. Przy tym nie aprobował zupełnie churchillowskich pomysłów, dotyczących broni powietrznej, jak wiadomo, znajdującej się jeszcze wtedy w pieluchach.

Winston Churchill jest właśnie tym, który wprowadził pierwszy tę nową broń do marynarki, znaną odtąd pod nazwą: "Air Arm of the Navy".

Kiedy Churchill wchodził do Admiralicji, ma-



rynarka wojenna posiadała około pół tuzina samolotów i taką że liczbę pilotów.

Churchill od razu zrozumiał wartość nowej broni i uczynił, co było w jego mocy, ażeby ją rozwinąć.

Często brał udział w lotach, aby po pierwsze dać przykład młodszym oficerom, a po drugie dokładniej przestudiować możliwości walki przy pomocy awiacji. Tak przynajmniej objaśniał swych kolegów z gabinetu.

A przecież ówczesne loty, to było ciągłe i-granie ze śmiercią. Pewnego dnia Churchill wziął udział w próbnym locie wodnopłatowca, którego nowy typ badano po raz pierwszy. Lot ten przeszedł szczęśliwie, ale gdy załoga ponownie wystartowała ażeby płatowiec odstawić do bazy, samolot skapotał i trzech znajdujących się w nim oficerów-pilotów, poniosło śmierć na miejscu.

Pomimo to, Churchill nigdy nie zaprzestał swych próbnych lotów i mało jest ludzi, nie zawodowych lotników, którzy by przeszli równie wiele, co on, katastrof. Tak też zostało po dziś dzień: wiemy że Churchill odbywa swe dłuższe i krótsze podróże tylko samolotem.

W tym że czasie osaczyły go też różne kłopoty finansowe. Ale Winston Churchill nie należy do rzędu ludzi, którzy by się poddawali. Nie był on już zresztą człowiekiem wolnym. Był powołany przez WBrytanię do spełnienia wielkiej roli. Gigantyczny program zmodernizowania marynarki musiał wejść w życie.

A było dużo do roboty. Wymienić choćby zastąpienie kotłów parowych na silniki spalinowe. Wymiana ta umożliwiała okrętom wielokrotne zwiększenie zasięgu. Ropa stawała się siłą życiodajną potworów morskich.

Następnie pod wielkim sekretem ustawiono w nowobudowanych pięciu pancernikach działa 15-calowe zamiast używanych dotąd 13.5-calowych. Uczyniono to bez przeprowadzenia uprzednio próby. Było to ryzyko, albowiem salwa z tak potężnych dział mogła wstrząsać pancernikiem. Celność była by problematyczna. a to groziło za-

głada. Rozumie się, cała odpowiedzialność spada wtedy na Pierwszego Lorda Admiralicji. Ale Churchill przylgnął do tych działań i eksperyment się udał...Przewaga siły ognia na pięciu nowych pancernikach przechyliła ponownie szalę pierwszeństwa na morzu na stronę WBrytanii. A co najważniejsze, że stało się to naprawdę w godzinie grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa.

W listopadzie 1913 roku Churchill wypowiedział w swej mowie prorocze zdanie: "Bezpieczeństwo naszego kraju wymaga przeprowadzenia jak najdalej idących środków przed atakiem z powietrza". Powiedział to o ćwierć stulecia za wcześnie. Ani jednemu z jego współobywateli, nawet nie przyszła do głowy myśl zaistnienia tego rodzaju niebezpieczeństwa. Hrabia Zeppelin uważany był wówczas za ekscentryka i marzyciela. Zresztą publiczność brytyjska mało interesowała się wtedy jakimiś problemami obrony i zupełnie nie rozumiała grożącego WBrytanii niebezpieczeństwa. I zima 1914 roku przeszła wszystkim bardzo wesoło i bez kłopotów.

Ale Churchill nie miał czasu na zabawy. Na początek lata przygotował on zwykłe manewry. Ale zarządził on wtedy mobilizację całej marynarki. 18 lipca 1914 roku przedefilowało przed królem 200 okrętów wojennych, z szybkością 15 węzłów na godzinę. Defilada trwała ponad sześć godzin. Przed oczami widzów przeszła potęga, nigdy przedtem przez WBrytanię nie posiadana.

Następnego czwartku, w czasie posiedzenia gabinetu, poświęconego całkowicie rozruchom w Irlandii, specjalny goniec przyniósł depezę z ministerstwa spraw zagranicznych. Premier odczytał ją członkom gabinetu. Zawierała ona warunki ultimatum, przesłanego Serbii przez Austrię. Wypadki zbliżały się szybko. Tragedia była tuż u progu.

27 lipca Churchill uprzedza admirałów, że wojna wybuchnąć może każdej chwili. W dwa dni później przesłał tajny rozkaz, nakazujący okrętom natychmiastowe udanie się do swych wojen-



nych baz.

Te przygotowania rządu spotkały się jednak w Izbie Gmin z opozycją. Pierwszego sierpnia Izba nie zgodziła się na ogłoszenie mobilizacji marynarki wojennej. Gdy jednak Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, Churchill pomimo weta, ciekawie zmobilizował wszystkie siły. I tylko dzięki temu, 4-go sierpnia, w pięć minut po oficjalnym wypowiedzeniu wojny Niemcom, marynarka brytyjska była już w drodze przeciw nieprzyjacielowi.

W dziesięć miesięcy później, po nieudanym ataku na Dardanele, Churchill opróżnił dla następcy swe biurko w Admiralicji. Czuł się on wtedy zupełnie zżamanym człowiekiem.

W tym momencie wszedł do pokoju rozsławiony w ubiegłej wojnie gen. Kitchener. Uścisnął rękę Churchillowi i rzekł: "Jednego nie odejmą panu nigdy: marynarka wojenna była gotowa".

## Rok 1920...

Polsko-rosyjska wojna, zakończona szczęśliwie w 1920 roku, wydaje się nam dzisiaj, jakby miała miejsce nie za naszych czasów. A jakaż różna ona była od wojny obecnej, choćby pod względem uzbrojenia. Było też jednak i podobieństwo: Była to tak samo wojna ruchu. Kawaleria zastępowała wtedy czołgi.

Niejaki W. G. Krivitsky, były agent Stalina, w książce swej, opublikowanej w W. Brytanii w 1940 roku, p. t. "I WAS STALIN'S AGENT", podaje ciekawy fakt, który przyczynił się do klęski Rosjan nad Wisłą.

Podajemy cały wycinek w brzmieniu dosłownym po angielsku. Redakcja od siebie dodaje, że nasze Naczelne Dowództwo śledziło z niepokojem w owym czasie ruchy kawalerii Budiennego, operującego pod Lwowem. Najgorętszym życzeniem ówczesnego Sztabu było przeprowadzenie uderzenia na lewe rosyjskie skrzydło, póki nie zostało ono ubezpieczone przez tę że kawalerię.

Dzięki niesubordynacji Stalina bieg histo-

rii Środkowej Europy zmienił swój kierunek.

Trudno jest przewidzieć, jakby się potoczyły dzisiejsze wypadki, gdyby Rosjanie odnieśli w owym czasie zwycięstwo nad armią polską.

In the meantime, the Poles began a surprise offensive into Ukraine, advancing almost unopposed upon Kiev, which they captured on May 7, 1920.

The Soviet forces, however, released by the defeat of Denikin, soon drove the Poles out of the Ukraine and the Red Army began its spectacular advance on Warsaw. Tukhachevsky, in command of the main Russian forces, was within artillery range of Warsaw and ready by early August to throw his entire army against the Polish capital. He awaited the arrival of the cavalry army, which, under the command of Budyenny and Voroshilov, had been moving steadily on the south-west front towards Lvov.

The political commissar of this cavalry army was Joseph Stalin.

The Revolutionary War Council, the supreme political authority over the Red Army had decided that from August 1 the commanders of the south-west front were to be subordinate to Tukhachevsky.

Tukhachevsky ordered the commanders on the south-west front to turn north towards Lublin and protect the left flank of the main Russian forces for the decisive battle on the Vistula. On August 11, the order was repeated by Moscow.

On Stalin's instructions, Budyenny and Voroshilov, and also the commander of the Twelfth Army, disobeyed these military orders. The cavalry Army continued its advance towards Lvov.

On August 15th, the Poles, whose Army has been reorganised by General Weygand and equipped with French artillery, struck back at Tukhachevsky from the Lublin area. From August 15 to August 20, while the Poles were driving through the Lublin gap, Budyenny's army hammered vainly Lvov.



## Jak zdobyć gumę...

Przemysł gumowy w W. Brytanii i w Stanach Zjednoczonych przechodzi obecnie kryzys surowcowy. Sytuacja tego przemysłu to "Pięta Achillea" wysiłku wojennego Sprzymierzonych.

W 1940 roku Daleki Wschód produkował 97% ilości światowego surowca. 90% tych plantacji znajduje się dzisiaj w rękach Japończyków.

Co należy zrobić i jakie środki przedsięwziąć, ażeby tę ciężką sytuację poprawić i móc zaopatrywać wszystkie rodzaje broni w olbrzymią ilość potrzebną w dzisiejszej wojnie gumy.

Według p. Ivora THOMAS'a, członka brytyjskiej Izby Gmin, należy ściśle przestrzegać czterech warunków, częściowo wprowadzonych już w życie w roku ubiegłym.

Pierwszym krokiem, nieodzownym dla utrzymania równowagi, są drakońskie przepisy, redukujące sprzedaż i konsumpcję gumy. 70% surowca szło na produkcję opon samochodowych. Jest zrozumiałym, że restrykcje benzynowe, wprowadzone uprzednio w Wielkiej Brytanii, w ogromnym stopniu już wpłynęły na zmniejszenie zapotrzebowania na opony. Dzisiaj automobilizm prywatny w W. Brytanii doszedł już prawie do swego możliwego minimum.

W Ameryce, posiadającej dość benzyny, ustalono, że w ciągu najbliższych dwóch lat, tylko jedna trzecia samochodów ma być pozostawiona na drogach.

Produkcja innych artykułów gumowych jest tak w W. Brytanii, jak i w Ameryce zupełnie wzbroniona. Nieliczne wyjątki pozostają pod surową kontrolą.

Należy zapisać na plus fakt, że zapas gotowych opon samochodowych w obu państwach był ogromny. Liczba licencji samochodowych w W. Brytanii w roku 1937, wynosiła blisko 3 miliony.

W Stanach Zjednoczonych zarejestrowanych jest 30 milionów pojazdów motorowych, z czego 28 milionów wozów osobowych.

Ta ogromna ilość samochodów wymaga, rozumie się odpowiedniego zapasu opon. Cały ten zapas oczywiście przeszedł na potrzeby wojny.

Następnym środkiem, umożliwiającym utrzymanie w ruchu przemysłu, jest zaopatrywanie go w starą, zużytą gumę, otrzymywaną z publicznej zbiórki. Niestety, źródło to, aczkolwiek w pierwszym okresie dość bogate, następnie dawać może jedynie bardzo ograniczone ilości surowca. Przy tym ze starej gupy otrzymać możemy zaledwie 50% surowca, zdatnego do ponownego przetworzenia.

Trzecim warunkiem jest zwiększenie produkcji surowca gumowego w krajach, leżących poza granicami możliwej japońskiej ekspansji. Eksploatacja wszystkich plantacji na Ceylonie, w Afryce i Południowej Ameryce, została znacznie powiększona. Jednocześnie z myślą o przyszłości, wielokrotnie powiększa się i obszar samych plantacji.

Stany Zjednoczone zapewniły już sobie całkowity eksport brazylijskiego surowca aż do końca 1946 roku. Ameryka przy tym płaci bardzo wysoką cenę, bo 39 centów za funt. /Koszt malajskiego surowca wynosił około 11 centów za funt/.

Niestety zwiększenie obszaru plantacji sprawy braku surowca w chwili obecnej zupełnie nie rozwiązuje. Drzewa gumowe nie rosną przez noc i najwyższa ilość surowca, możliwa do osiągnięcia z całej Łacińskiej Ameryki, nie przenosi 42.000 ton.

Zwrócono specjalną uwagę na zwiększenie plantacji pewnego gumowego krzewu /Guayule shrub/, dającego już pokaźne ilości po czterech latach. Krzew ten pochodzi z Meksyku, ale rośnie też w dużych ilościach w dzikim stanie w Texas, w Arizonie i w Nowym Meksyku. Ale i hodowla tego



szybko rosnącego krzewu nie da natychmiastowych rezultatów.

Czwartym, najważniejszym sposobem otrzymania surowca gumowego, jest produkcja syntetycznej gumy.

Tutaj należy jaknajusilniej iść śladem Niemców. Syntetyczna guma pojawiła się po raz pierwszy w Niemczech pod nazwą "Buna" w 1920 roku. Dopiero jednak w 1939 r. Niemcy wykończyli pierwszą wielką fabrykę, produkującą "Bunę" na wielką skalę. Budowę innych zakładów, produkujących syntetyczną gumę, rozpoczęto w Niemczech już po wybuchu wojny.

Sowiety też posiadają tego rodzaju zakłady, produkujące surowiec, zbliżony do "Buny", a otrzymywany ze spirytusu.

W roku ubiegłym czynniki miarodajne w W. Brytanii zdecydowały, ażeby nie produkować syntetycznej gumy na miejscu. Po długich naradach Brytyjczycy przyszli do przekonania, iż wystarczy, jeżeli ta produkcja skoncentrowana zostanie w Stanach Zjednoczonych, które następnie zaopatrywałyby tutejsze fabryki w potrzebny im surowiec. W Ameryce zbudowano cztery wielkie fabryki i program produkcji ustalony został na 350.000 ton w roku 1943 i 700.000 ton w 1944.

Decyzja oparcia swej produkcji na sprowadzonym z Ameryki surowcu wynika z kalkulacji, że tego rodzaju import jest bardziej ekonomiczny w porównaniu do olbrzymiego tonażu, niezbędnego dla sprowadzenia odpowiedniej ilości ropy, potrzebnej do produkcji syntetycznej gumy. Poza tym wchodzi w rachubę i brak zbędnej siły roboczej oraz groźba możliwości zbombardowania tych fabryk przez Niemców.

Argument pierwszy jest, rozumie się, niepoważny, albowiem syntetyczną gumę można produkować z węgla. Drugi powód jest bardziej rzeczowy, albowiem W. Brytania w dużym już stopniu wydrenowała swe dość bogate zasoby robotnicze.

Tymczasem fachowcy w Stanach Zjednoczonych, pomimo opracowanego planu, przewidują na rok

bieżący najwyżej 300.000 ton a na przyszły może 600.000 ton. Poza tym straty morskie także należy brać pod uwagę w kalkulacji.

Fakty powyżej przytoczone wpłynęły iż w Brytanii zmienić prawdopodobnie uprzednio powzięte decyzje. Jak dotąd, odbyło się masę dyskusji na ten temat. Fachowcy nie mogą ustalić, jaka ilość węgla potrzebna jest dla otrzymania jednej tony gumy. Jedni twierdzą że na tonę syntetycznej gumy wystarcza cztery i pół tony węgla, inni zaś, że i 10 ton nie będzie za wiele.

W tym wypadku nawet wyprodukowanie 100.000 ton gumy musiałoby wywrzeć ujemny wpływ na konsumpcję węgla.

Reasumując, nasuwają się jeszcze następujące refleksje. Na zbudowanie wielkiej fabryki potrzeba czasu. Przypuśćmy, iż można by puścić ją w ruch w przeciągu 12 miesięcy. Optymiści przewidują, iż zwycięskie zakończenie wojny w tym czasie będzie już tylko kwestią tygodni lub w najgorszym razie miesięcy. Pesymiści zaś argumentują że nawet po zlikwidowaniu wojny w Europie, nie możemy się spodziewać tak prędkiego jej zakończenia z Japonią. Jest możliwym, że będzie ona trwała jeszcze i szereg lat.

Największymi przeciwnikami stworzenia tutaj syntetycznego przemysłu gumowego są oczywiście byli właściciele plantacji drzew gumowych, obawiających się w przyszłości tej poważnej konkurencji. Ich interesy nie zgadzają się jednak z interesami państwa. Surowiec gumowy musi być z jakiegokolwiek źródła wydostany. To źródło, jak i koszty nie odgrywają w tym wypadku żadnej roli. Tym bardziej nie będą miały wpływu na to interesy jednostek.

Najważniejszym czynnikiem, odgrywającym ogromną rolę, jest czas. Z tym czynnikiem muszą się rządy Sprzymierzonych jak najbardziej liczyć.





try wscie, że...

Znany astrolog francuski i prorok, Michał Nostradasmus, żyjący od 1503 do 1566 roku, przepowiedział koniec świata w tajemniczym wierszu, brzmiącym po przetłumaczeniu: "Kiedy Św. Jerzy ukrzyżuje Garystusa, a Św. Marek Go ożywi, a Św. Jan Go poniesie, nadejdzie wtedy koniec świata.

Wiersz ten różnie interpretowano, ale jego najlepsza wersja jest następująca.

Kiedy Wielki Piątek wypadnie 23 kwietnia /dzień Św. Jerzego/, Wielkanoc - 25 kwietnia - /Św. Marka/, a Boże Ciało 24 czerwca /Św. Jana/ to wtedy nastąpi koniec świata.

Według kalendarza duchownego w tym roku właśnie wszystkie te święta wypadają według powyższej interpretacji.

Od 1700 roku do 2100 - taki układ świąt zdarza się cztery razy. W 1734, 1886, 1943 i ostatni raz - 2038 roku. Jak dotąd koniec świata jeszcze nie nastąpił ! A nasi wnukowie mogą przekonać się dopiero za 95 lat.

-Newcastle Journal.

W czasie "Bitwy o W. Brytanię" zdarzył się jeden nader ciekawy wypadek.

Czterech niemieckich pilotów przymaszerowało do wsi w okolicy Shaftesbury aby dobrowolnie oddać się w ręce tamtejszej policji. Władze natychmiast zarządziły poszukiwanie szczątków samolotu, ale nie znalazły nawet śladu.

Bombowiec Dornier bez podwozia, wspaniale wylądował na błotnistych płaszczynach koło Ipswich, w odległości 150 mil od Shaftesbury, lecz wewnątrz nie znaleziono załogi.

Ludzie w jednej miejscowości robili domysły co się mogło stać z samolotem, w drugiej zaś, gdzie przepadła załoga.

Zagadka wkrótce się wyjaśniła, niemniej jednak sam wypadek był zadziwiający.

W Anglii jedna mila równa się 1760 jardów, w Szkocji ta sama mila jest o 124 jardy dłuższa.

W Irlandii żeby przebyć milę, trzeba jechać 2240 jardów. W Europie mila posiada znowu inne wymiary. Włoska mila równa się 1467 jardów, a za to hiszpańska ma już 5028 tych że jardów. Gdy żołnierze nasi wkroczą do Austrii, zmuszeni będą przejść 8296 jardów, a żeby zrobić jedną milę.

Christan Herald.

W amerykańskiej armii istnieje dzisiaj specjalna służba, mająca za zadanie wydawanie broszur, pouczających żołnierzy, jak należy zachowywać się w krajach, przez które będą oni przechodzić w swym zwycięskim pochodzie.

Ostatnio żołnierze otrzymali książeczkę "How to behave in North Africa".

Rozdział o kobietach.

"Kobieta mahometañska zakryta jest zwykle od stóp do głów. Biały woal zakrywa też twarz aż do oczu. Nie gap się na kobietę. Nie zaczepiaj jej w tłumie. Nie przemawiaj do niej publicznie. Nie dotykaj jej woalu.

Jeżeli nie zastosujesz się do tych przepisów, narażasz się na kalectwo lub nawet śmierć ze strony tamtejszych muzułmanów.

Gdy masz zamiar wejść do cudzego domu albo na podwórze, musisz krzyknąć na kobiety, aby zakryły swe twarze i zeszyły z drogi. Należy użyć słowa "taghattu"/tagatu/, co oznacza zakryj twarz."

Yank.

Codziennne pismo żołnierskie

"DZIENNIK ŻOŁNIERZA"

wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, przynosi najświeższe wiadomości wojenne i polityczne. Artykuły polityczne, społeczne i kulturalne.

Własne korespondencje  
Felietyony i reportaże.  
Duży dział poszukiwań.

Cena 1 pens.

81, Virginia Street, Glasgow.  
tel. BELL 1027.



## Holiday na tratwie...

Dziewięciu Norwegów żyło na małej tratwie na oceanie Atlantyckim w ciągu 48 dni. Wszystko, co posiadali to było: kawał sznura, worek soli i mała baryłka słodkiej wody. Niezbyt wiele dla 9 zdrowych chłopów, z których najmłodszy liczył 24 lata a najstarszy 58. Wyszli z przygody obronną ręką i nawet potem chwalili czas, spędzony na tratwie.

Okręt storpedowany został pewnego pięknego letniego wieczoru w środkowej części oceanu Atlantyckiego. Dwie torpedy trafiły w statek tak nieszczęśliwie, że w ciągu niewielu sekund cały pokład znalazł się pod wodą. Spośród 51 ludzi załogi jedenastu zostało zabitych przez eksplozję, trzydziestu jeden zdażyło załadować się do łodzi ratunkowej a dziewięciu wpadło do morza. Ci ostatni zdołali wydostać się na tratwę wyrzuconą w morze przez wybuch.

Świt następnego dnia znalazł dziewięciu rozbitków pośrodku pustego oceanu. Pustego, jeżeli nie brać pod uwagę niewiele pływających w nim krokodyli.

Powierzchnia tratwy miała ledwie dwanaście szerokości i piętnaście stóp długości. Kawał sznura, worek soli /o ironio/ i mała baryłka słodkiej wody - oto cały majątek. Reszta żywności i wody zagubiła się w momencie, kiedy tratwa wyrzucona została w powietrze siłą wybuchu.

Przyszłość nie przedstawiała się różowo. Jeden z marynarzy sporządził przy pomocy sznura i posiadanego haczyka wędkę. Niestety, bez przynęty, ryby, nie chciały za haczyk chwycić. Spróbowali dać na przynętę specjalnie nacięte wodorosty morskie. Tym razem udało się. W parę minut potem pierwsza ryba znalazła się na tratwie. Zgłodnieli marynarze, przemogłszy

wstręt, pokrajali ją na kawałki i zjedli na surowo. Następnie złowione ryby pokrajane i posolone, postanowili suszyć na słońcu. Pierwsze dni zeszyły im na łapaniu i peklowaniu. Wkrótce zapas jada był tak duży, iż nie musieli się obawiać głodu.

Gorzej było z wodą. Na gorącym słońcu i po słonej rybie język i wargi wysychały paskudnie. A w beczułce pokazało się wkrótce dno. Tymczasem pogoda dopisywała i nie można było spodziewać się prędko deszczu.

Pewnego razu jeden z wartowników, wypatrujących na horyzoncie zbawionego okrętu spostrzegł pływającego, wielkiego żółwia morskiego. Zaalarmował towarzyszy i wszyscy, wioskując rękami, zdołali go dogonić i wciągnąć na pokład. Cieszą się z powodu zmiany menu.

Radość była jednak krótka. Żółw okazał się niezdatnym do jedzenia, nawet dla ich zgłodniałych żołądków.

Ale skorupa przydała się. Gdy wreszcie wymodlony deszcz zaczął padać, do nastawionej muszli, jak do miski, naleciało dosyć wody, ażeby odwlec niechybną śmierć z pragnienia.

Od chwili katastrofy upłynęło już trzy tygodnie. Życie szło im dalej w ten że sposób. Czas spędzali na łowieniu i suszeniu ryby, łapaniu w skorupę wody i wypatrywaniu zbawczego dymu. Pomimo groźby ze strony pływających wkoło krokodyli, zażywali codziennie morskiej kąpieli, utrzymującej ich w rześkim stanie.

Tak spędzili 48 dni. Jeden z młodych marynarzy, na imię Erik, zawsze coś pierwszy spostrzegał. I tym razem pierwszy wykrzyknął: "okręt". Wszyscy z niepokojem obserwowali dymek na horyzoncie. Statek płynął w stronę tratwy. Gdy był już względnie blisko, wszyscy zaczęli krzyczeć i machać koszulami. W momencie, kiedy zostali zauważeni przez załogę, wieloryb wypłynął na powierzchnię morza. Załoga okrętu wzięła go za podwodną łódź. Długi czas



jeszcze krążyli naokoło tratwki. Wreszcie, przekonawszy się, że wieloryba wzięli za morską pirata, spuścili kółko ratunkową, aby zabrać naszych rozbitków. Był to norweski okręt.

Pomimo, iż nasi rozbitkowie przebyli 7 pełnych tygodni na tratwie, o własnych siłach wdrali się po drabinie na statek.

Spożywając z apetytem gotowane i smażone jądło opowiadali podziwiającym ich marynarzom dzieje swych przeżyć. Popijając potem doskonałą pachnącą kawę, zakończyli:

"Żyliśmy na tratwie zupełnie normalnym życiem. Wcale nie było tak źle".

Dziwując naszym rozbitków przydzielono potem do załogi innego okrętu. Czy następne przygody skończą się tak szczęśliwie, przyszłość to pokaże.

### Brytyjski Humor.



Przykład płynie z góry...

Łapaczony...

Po południu, a właściwie przed wieczorem batalion już jako tako sformowany i major może zameldować w komendzie miasta stan ogólny 10 oficerów i około 600 podoficerów i szeregowców, w tym jedna kompania całkowicie umundurowana i uzbrojona.

Stan mojej kompanii przedstawia się następująco:

3 oficerów, 1 podchorąży, 240 podoficerów i szeregowców, podzielonych na trzy plutony, 9 drużyn /w tym jedna drużyna cyklistów/, sekcja granatników, poczet dowódcy kompanii i pluton C.K.M. Posiadam też luzaka z koniem oraz tabor składający się z dwóch wozów, dwóch biedek amunicyjnych i jednej kuchni polowej. Dowództwo pierwszego plutonu objął podporucznik Tarnawski, drugiego - ppor. Piechota, a trzeciego podchorąży. Każda drużyna posiadała r.k.m. Browninga a nawet jeden mieliśmy na wozie w zapasie. Amunicji miałem dosyć tak do karabinów zwykłych jak i do broni maszynowej. Sierżant szef odebrał ludziom całą amunicję, przesortował, przeliczył i po wydaniu po trzy jednostki, resztę załadował na biedki. Natomiast niepokoił mnie brak granatów ręcznych /miałem ich wszystkiego 16 sztuk i to tylko zaczepnych/, oraz jakiegokolwiek sprzętu przeciwpancernego. Amunicji przeciwpancernej do cekaemu miałem wszystkiego 1.500 sztuk.

W tym stanie rzeczy uważałem, że po ewentualnym uzupełnieniu braku granatów i amunicji do granatników oraz amunicji przeciwpancernej, kompania moja stanowi dość silny, pełnowartościowy oddział. I to nie tylko pod względem liczebnym i siły ogniowej, ale i pod względem moralu. Zdaniem moim to byli ci lepsi żołnierze, którzy, po rozbiciu oddziałów, nie tylko szukali możliwości przyłączenia się do jednostek walczących, ale i broni swojej nie porzucili. Dźwigali ją oraz amunicję, często z bardzo daleka i czasami w niewiarygodnie trudnych warunkach. Słowem, w odró-



źnieniu od słabszych duchem, którzy broń swoją pogubili lub porzucili - byli to ludzie sumienni w swoim ustosunkowaniu się do obowiązków żołnierza. Karabin był tu, że tak powiem, legitymacją do pierwszej kompanii. Sam słyszałem, jak dwóch żołnierzy kłóciło się o karabin, przyczym jeden z nich narzekał, że drugi chciał mu zabrać jego własny "rodzony" karabin, bez któregoby go nie przyjęli do "tego prawdziwego wojska". Naturalnie, że powyższe moje rozumowania grzeszą zbyt daleko posuniętym może uogólnieniem i trzeba się z tym zgodzić, że dużo nie posiadających broni nie zawiniło temu, ale naogół trzeba przyznać że żołnierz, który wyniósł sało swój karabin z walk pod Łodzią i Radomiem i zachował go również podczas przeprawy przez Wisłę, jest naogół dobrym żołnierzem. Tym również powodowałem się, kiedy, pomimo zastrzeżeń i wątpliwości sierżanta, przyjąłem do kompanii kilkunastu żołnierzy ze straży narodowej /ze Śląska/ ludzi już starszych i fizycznie ustępujących reszcie.

Oficerowie również wzbudzali moje zaufanie, szczególnie ppor. Piechota, chłopak młody, wysmukły, przystojny, szczerzy, trochę naiwny, jakby naiwnością dużego dziecka. Przedarł się przez Wisłę i Puławy od strony Łodzi i teraz z wielką chęcią i zamiłowaniem pomagał mi w porządkowaniu kompanii. Drugi, ppor. Tarnawski, z zawodu nauczyciel wychowania fizycznego /ukończył instytut na Bielanach/ małomówny i bardzo poważny, przybył na plac nieludzko zmęczony, spocony i pokryty kurzem, obwieszony swoim rynsztunkiem bojowym i zameldował, że cofał się od strony Częstochowy i w pewnym miejscu, po ponownym rozbiciu oddziału, pozostał sam. Odesłałem go odrazu na słomę aby się wyspał, co też wykonywał właśnie nader sumiennie.

Jedynym słabym punktem kompanii było jej prze-męczenie. Żołnierze mają w znacznej ilości pobcierane nogi. Chciałbym dać im możliwość lepszego wypoczynku i opatrunku przez lekarza. Melduję o tym wracającemu wraz z Sokołowskim i samochodami majorowi, który zgadza się ze mną w zu-

pełności, ale powiada, że dopiero jutro otrzyma rozkazy. Z nich dowie się, dokąd będziemy ewakuowani przed wcieleniem do armii.

Zapada już wieczór. Przypominam sobie, że nie jeszcze dzisiaj nie jadłem, a szwagier i Józio pewno na mnie czekają. ~~Wzostawiam~~ Pozostawiam ~~ppos~~ Pischotę jako zastępcę, zwalniam się u majora i wyruszam na miasto.

&

&

&

Lublin rozbity i spalony próbuje odbudować na zgliszczach swoje normalne życie. W granicach możliwości porządkuje się ulice. Sklepy czynne. Kawiarnia Warszawska czynna, jest kawa i pseudociastka. W resursie obywatelskiej restauracja funkcjonuje, pomimo zawalenia się sali bawlowej. Zamiast gazet ukazał się jakiś świstek, wielkości ówiartki papieru, w którym zapowiedziano, że kilku znanych warszawskich dziennikarzy będzie codziennie podawał z balkonu magistratu komunikaty i wiadomości. Naogół podane przez tę gazetkę wiadomości tehną optymizmem, chociaż niema w nich potwierdzenia wczorajszych radosnych wieści.

Szukam znajomych. Dwóch nie zastaję, są w wojsku. Trzeci z rodziną siedzi na ocalonych tobołkach w ogródku. Dom rozbity. Zapytuje co ma robić i czy w razie zbliżania się Niemców, należy ewakuować się na Wschód. W odpowiedzi objaśniam go, co widziałam i co się dzieje na drogach. Zdaniem moim, o ile się nie idzie do wojska, nigdzie wyruszać nie należy, a już tym bardziej z rodziną.

Potem idę pożegnać się ze szwagrem i Józkiem, gdyż odtąd drogi nasze się rozchodzą i wracam do swojej kompanii. Wysłuchuję rozkazów majora, dotyczących pewnej ilości oporządzenia żołnierskiego, które mu się udało wydobyć z intendentury i po wyznaczeniu na oficera służbowego podchorążego jeszcze nie umundurowanego, idziemy wszyscy pokotem spać na słomę.



W nocy budzi mnie podchorąży i powiada, że inne oddziały wychodzą z Lublina, że podobno był taki rozkaz pułkownika Szostaka.

-Czy dostał pan jaki rozkaz, albo przychodził może nasz łącznik z dowództwa ?

-Nie, ale widzę, że maszerują ciągle i ludzie mówili... Patrzę w okragłe, wystraszone oczy dziecka i czuję, że trzeba gościa postawić na nogi.

-Panie podchorąży, do jasnej cholery ! Czy ma pan zamiar mnie budzić każdy raz jak ktoś coś powie ? A czy pan wie, że za robienie paniki poprostu każą pana zamknąć ? Zrozumiano ?

-Tak jest !

Mam wrażenie, że się uspokoił, bo do rana spałem bez przeszkód. Była to pierwsza i jeżeli nie ostatnia, to jedna z niewielu nocy, w wojsku przespana !

Rano znowu praca, porządkowanie się. Major wyrusza do dowództwa po informacje i rozkazy. Zarządzam zbiórkę, raczej dla wpojenia żołnierzom na nowo pewnego rygoru i porządku. Robię przegląd umundurowania i polecam szefowi zrobić wykaz brakujących sort. Robił to biedak przez całą wojnę, bo mu zawsze coś przeszkodziło dojść do końca.

Motocyklista melduje, że musi coś w maszynie poprawić u ślusarza. Daję mu potrzebną na to gotówkę, która mi się nigdy nie opłaciła, bo jak wyjechał bestia z pierwszym meldunkiem w czasie marszu, to już więcej nie wrócił.

Wraca major i komunikuje mi, że prawdopodobnie jeszcze dzisiaj wymaszerujemy na tyły, na jakiś punkt koncentracyjny, gdzie naturalnie uzupełnimy wszelkie braki i damy żołnierzom przed dalszym trudem należyty wypoczynek. Dzisiaj nie wszyscy nawet mieli słomę.

Melduję majorowi, że mam w kompanii kilkunastu ludzi z nogami tak podparzanymi, że nie będą mogli maszerować. Major decyduje, że tych ludzi wsadzimy na jeden z ciężarowych samochodów. Jednocześnie zarządza, że wszystkie nasze wozy z pobraną żywnością i sprzętem należy ufor-

mować w jedną dla całego batalionu kolumnę taborową, która pociągnie bezpośrednio na miejsce, pod dowództwem chorążego-taboryty.

W tym czasie zgłasza się kolejno jeszcze kilku oficerów, między innymi zawodowy kapitan z Korpusu Ochrony Pogranicza, który po bardzo uciążliwych walkach i całkowitym odcięciu, zdołał przedrzeć się i właśnie przed chwilą przybył do Lublina. Energiczny i dzielny, od razu wchodzi w tok wykonywanej pracy, przejmując ode mnie wszystkie funkcje, które wykonywałem jako zastępca majora. Patrząc na jego rażne, wesole i rzeczowe podejście do pracy, cieszę się że taki właśnie nam przybył. Odtąd jestem wyłącznie dowódcą kompanii i nią tylko się zajmuję.

W wolnych chwilach, z wielkim zaciekawieniem słucham jego barwnego opowiadania o walce brygady KOP'u na przełęczach karpaccich i z całym przekonaniem godzę się z jego ostatecznym wnioskiem.

-Ale teraz, poruczniku, jak pójdziemy, to tylko prać i prać! Zadnego cofania się! Dość już!

Przybyła nam bryczka parokonna, którą major zarezerwował dla siebie, oddając jednocześnie do stacji zbornej kawalerii, ku mojemu wielkiemu żalowi, dwa osiodlane wierzchowce, które wczoraj zafasowałem.

Kiedy po południu sierżant znowu przyprowadza wierzchowca i mawiając o tym majorowi, dodając, że należy mi się, jako dowódcy kompanii koń, major nie protestuje i konia zatrzymuję. Nie chcąc być zbyt skromnym, dla oddania sobie sprawiedliwości, zaznaczę jednak, że wszystkie marsze w tej wojnie odbyłem razem z kompanią pieszo i konia używałem jedynie, kiedy musiałem się od niej oddalać.

Po południu wpada do mnie Józio, ażeby jeszcze raz pożegnać się. Przydzielony został do grupy oficerów saperów, z którą też gdzieś wyznaczają, ale gdzie i kiedy jeszcze nie wie. Dumny jestem, że mam już kompanię i mogę mu ją pokazać.



Krzyżacy...

H. Sienkiewicz

Smolarz podjął się chętnie, wyprosiwszy jeszcze pół bochenka chleba, bo w lesie, chociaż głodem nie przymierali, ale chleba zdawna nie widzieli. Ułożono, że wyjadą nazajutrz rano, gdyż pod wieczór było "niedobrze". O Borucie mówił smolarz, że okrutnie czasem "burzy" w boru, ale prostawctwu krzywdy nie czyni, i zdrowym będąc o księstwo Łęczyckie, innych dyabłów po chróstach gania. Żle tylko spotkać się z nim w nocy, zwłaszcza, gdy człek napiły. W dzień i po trzeźwemu, niema przyczyny bać się.

-A wszelakoś się bał? -rzekł Maćko.

-Bo mnie ten rycerz niespodzianie chycili z mocą taką, że myślałem, iż nie człowiek.

Więc Jagienka poczęła się śmiać, że to oni wszyscy smolarza poczytali za coś "paekudnego", a smolarz ich. Śmiała się z nią razem i Anula Sieciechówna, aż Maćko rzekł:

-Jeszcze ci ślepiec nie obeschły po płakaniu za Hławą, a teraz się już szczerzysz?

Więc Czech spojrzął na jej różaną twarz, i widząc, że rzęsy na jeszcze mokre, zapytał:

-Pomnieście płakali?

-Ej, nie! -odrzekła dziewczyna. -jeno się bałam i tyła.

-Przecieście szlachcianka, a szlachciance wstyd. Pani wasza nie taka bojąca. Cóż się wam tu mogło złego przygodzić, w dzień i między ludźmi?

-Mnie nic, ale wam.

-A powiadacie przecie, że nie po mnieście płakali?

-Bo nie po was.

-A zaś czemu?

-Ze strachu.

-A teraz się nie boicie?

-Nie.

-A zaś czemu?

-Boście wrócili.

Na to Czech spojrzął na nią z wdzięcznością, uśmiechnął się i rzekł:

-Ba, takim sposobem możnaby do jutra gadać. Okrutnieście chytry.

Ale ją było prędzej o wszystko inne, niż o chytróść posądzić, i Hława, który sam był pacholek przebiegły, rozumiał to dobrze. Rozumiał również, że dziewczyna lgnie do niego z każdym dniem więcej. Sam on miłował Jagienkę, ale tak, jako poddany miłuje córkę króla, więc z pokorą i czią największą, a bez żadnej nadziei. Tymczasem podróż zbliżała go z Sieciechówną. W czasie pochodów, stary Maćko jechał zwykle w pierwszą parę z Jagienką, a on z Anulą, że zaś chłop był, jak tur, a krew miał jak ukrop, więc gdy w czasie drogi spoglądał na jej jasne oczki, na płowe kosmyki włosów, które nie chciały trzymać się pod patlikiem, na całą postać smukłą a urodziwą, a zwłaszcza na cudne, jakby utoczone nogi, obejmujące wronego podjezdka, to ciarki przechodziły go od stóp do głowy. Nie mógł też się wstrzymać od coraz częstszego i coraz bardziej łakomego spoglądania na te wszystkie doskonałości i mimowoli myślał, że gdyby dyabeł zmienił się w takiego pacholka, to łatwo zdołałby go przywieść na pokuszenie. A był to przy tym słodki, jak miód pacholiczek, zarazem tak posłuszny, że tylko w oczy patrzył i wesoły, jak wróbel na dachu. Czasem dziwne myśli przychodziły Czechowi do głowy, i raz, gdy przystali z Anulą nieco w tyle, przy jucznych koniach, zwrócił się nagle do niej i rzekł.

-Wiecie ? tak tu wedle was jadę, jako wilk wedle jagnięcia.

A jej aż białe ząbki rozbliły wraz od szerego śmiechu.

-Chcielibyście mnie zjeść ? -zapytała.

-Ba ! z kosteczkami !

I spojrział na nią takim wzrokiem, że spłoneła pod nim, poczem zapadło między nimi milczenie, i tylko serca biły im mocno, jemu z żądzy, jej z jakiejś słodkiej odurzającej bojaźni.

Lecz początkowo żądza przemagała w Czechu całkiem nad tkliwością, i mówiąc, iż patrzy na



Anulę, jak wilk na jagnię, mówił prawdę. Dopiero tego wieczora, w którym ujrzał jej mokre od łez policzki i rzęsy, zmiękło w nim serce. Wydała mu się dobra i jakaś bliska i jakaś swoja, że zaś i sam miał naturę uczciwą, a zarazem rycerską, nie tylko więc nie wbił się w pychę i nie zhardział na widok tych śładkich łez, ale stał się nieśmielszy i więcej na nią uważający. Opuściła go dawna niefrasobliwość w mowie, i choć jeszcze trochę dworował przy wieczerzy z bojaźliwością dziewczyny, ale już inaczej, i przy tym służył jej tak, jak rycerski giermek obowiązany był służyć szlachej. Stary Maćko, pomimo iż głównie myślał o jutrzejszej przeprawie i o dalszej podróży, spostrzegł to jednak, ale pochwalił go tylko za górne obyczaje, których, jak mówił, musiał przy Zbyszku, na dworze Mazowieckim nabrać.

Poczem zwróciwszy się do Jagienki, dodał:

-Hej! Zbyszko!... Ten ci się choć i u króla znajdzie!

Ale po owej służbie przy wieczerzy, gdy przyszło rozchodzić się na noc, Hława, po ucałowaniu ręki Jagienki, podniósł z kolei do ust i dłoń Sieciechówny, poczem rzekł.

-Wy się nie tylko o mnie nie bójcie, ale i przy mnie nie tego się nie bójcie, bo ja was nikomu nie dam.

Poczem mężczyźni pokładli się w przedowej izbie, zaś Jagienka z Anulą w alkierzu, na jednym, ale szerokim i dobrze wymoszczonym tapczanie. Obie nie mogły jakoś prędko zasnąć, a zwłaszcza Sieciechówna kręciła się co chwila na drylichowym gnieźle, więc po jakimś czasie Jagienka przysunęła do niej głowę i zaczęła szeptać.

-Anula?

-A co?

-Bo... mi się tak zdaje, że ty okrutnie nawidzisz tego Czecha... Jako-że?

Ale pytanie pozostało bez odpowiedzi, więc Jagienka znów zaczęła szeptać.

-Przecie ja to rozumiem... Powiadaż...

Sieciechówna nie odpowiedziała i teraz, tylko

---

---

przywarła ustami do policzka swej pani i poczęła ją, raz po raz całować.

A biednej Jagiencie również raz po razu westchnienia jąły podnosić pierś dziewczęcą.

-Oj, rozumiem, rozumiem! -szepnęła tak cicho, że Anula zaledwie mogła ułoić uchem jej słowa.

---

---

### *Prze Brytyjskie Okulary...*

---

---

#### "Teacherski".

BILINGUAL street-signs are a feature of one of our home bomber stations. This is because a Polish squadron is stationed there.

As usual the main routes through the camp are named after famous London streets, but there is a "Marshal Pilsudski-avenue" and a "Freedom-place" each with its Polish equivalent.

Most London place-names translate easily - it is not difficult to identify "Plac Picadilly", for instance, but the translators found their biggest problem in "The Mall". They decided, in the end, on "Aleja Zaciętiona" - literally "shady, tree-lined avenue".

These Poles, however, are no longer in need of interpreters, even for briefing instructions. They pick up English very quickly under the guidance of the education officer. A pleasant commingling of tongues appear in his nickname. To Poles and British alike he is known as "Teacherski".

The Daily Telegraph.

---

---

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA KWARTALNA 6/-  
REDAKCJA I ADMINISTRACJA  
43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.  
Tel. 53061.

---

---

Published by J. Stolinski  
Printed by "Co Stykae"